Bogobojne miasteczko

Nieważne, gdzie, kiedy i czy w ogóle niniejsza historia się wydarzyła, nieważne również, kto był jej głównym bohaterem, istotne, że w wielu miejscach może się któregoś dnia wydarzyć. Zawsze.

Działo się to w mieście nieszczególnie dużym, właściwie, jak na dzisiejsze standardy, wręcz małym. Liczyło ono bowiem raptem około siedmiu tysięcy dusz. Żywych. Martwych nikt nie liczył, nie zaprzątał sobie nimi głowy, oni nie byli już nikomu potrzebni. Może jedynie statystykom. Ci jednak, którzy nadal tutaj żyli, nie cierpieli jakoś szczególnie z powodu braku jego przeludnienia. Więcej – wydawali się nawet szczęśliwi. To była ich mała, osobna enklawa, pozostająca na obrzeżach wielkiego świata.

W tak niewielkiej miejscowości nie było rzeczą dziwną, że wielu mieszkańców znało siebie nawzajem, więc kiedy spotykali się na ulicy, w sklepie, na stacji benzynowej, w jakimś urzędzie, czy w końcu w kościele, których w mieście było aż sześćdziesiąt sześć, wymieniali przyjazne gesty, wzajemnie się pozdrawiając. Ktoś mógłby oczywiście powiedzieć, że kościołów jest za dużo, mógłby, gdyby chodziło o inne miasto; tutaj jednak, w tym szczególnym miejscu, sześćdziesiąt sześć nie oznaczało na tyle dużo, aby stać się liczbą ostateczną. Świadczyła o tym budowa trzech innych, a w planach były jeszcze projekty czterech kolejnych. Wszystko dlatego, że kościół postrzegany był przez obywateli tego miasteczka jako miejsce wyjątkowe, jako Dom Boży, w którym dochodzi do ich spotkania z jego gospodarzem – Bogiem! Dlatego przyjście do kościoła – choćby na przysłowiowe pięć minut, odbierane było tutaj jako nakaz moralny, obywatelski wręcz obowiązek! Można

było być Żydem czy czarnoskórym, można było być alkoholikiem, homoseksualistą, czy antysemitą, ba – nawet pedofilem!, można było bezkarnie tłuc żonę w czterech ścianach swojego mieszkania, nie szczędząc razów również dzieciom, nie można było jedynie dwóch rzeczy, które zresztą tak naprawdę były tożsame, były jednością: nie można było nie wierzyć w Boga i nie chodzić do kościoła, aby oddać należny Mu szacunek, miłość i przywiązanie. I podziękowanie, za życie – swoje, swoich bliskich, sąsiadów, w ogóle za wszystko, co było wokół. Wiara w Boga bowiem w tym mieście była, można powiedzieć, pożywką wyssaną wraz z mlekiem matki. Po ojcu natomiast dziedziczyło się ją w genach. Nie wierzyć w Najwyższą Istotę można było jedynie prywatnie, wewnętrznie i tylko u siebie w domu, być jednak ateistą i przyznać się do tego publicznie, było już nie tylko niewybaczalnym grzechem, taka deklaracja stawała się wręcz samobójstwem, towarzyską śmiercią!

Jak wspomniałem wcześniej miasto było nieduże, nieduże jednak nie znaczy wcale, że było zapyziałą dziurą, przeciwnie – dzięki swojemu położeniu było niezmiernie urokliwe: znajdowało się ono bowiem w niecce, otoczonej z każdej strony przez wzgórza, które na dodatek porośnięte były lasami, a przez całe miasto leniwie wiła się, niczym wąż, senna rzeczka, biorąca swój początek na długo przed tą miejscowością. Okoliczne lasy były bogactwem tej ziemi, podobnie jak i pobliskie jeziora, których tutaj również nie brakowało. W samym jego centrum, na górującym nad nim wzgórzu, znajdowało się XVII-wieczne muzeum z ogrodem włoskim, w sąsiedztwie którego usytuowana była wielowiekowa katedra. Pomimo oczywistego nadmiaru tego rodzaju budowli, w mieście nie brakowało niczego, co było niezbędne do życia i codziennego sprawnego jego

funkcjonowania. Były piekarnie, zakłady szewskie, szklarskie, krawieckie, fryzjerskie, niezbędne sklepy zaopatrujące mieszkańców w najpotrzebniejsze sprzęty, czy w końcu urzędy, w których rozwiązywano praktycznie od ręki bieżące sprawy swoich obywateli. Słowem – miasto było samowystarczalne i może dlatego tak chętnie odgradzało się od świata zewnętrznego, ponieważ ludzie zamieszkujący je świetnie się czuli w tej swojej szczelnie odizolowanej małej enklawie. Potrafili sami się wyżywić, ubrać, a władze miasta umiały zadbać o to, aby nikt nie pozostawał bez pracy, ponieważ rajcowie miasta doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że praca nie tylko uszlachetnia istotę ludzką, ale, co najistotniejsze, daje człowiekowi poczucie godności i przynależności do społeczności, w której przyszło mu funkcjonować. Jej brak natomiast rodzi zwykle jedynie narastającą frustrację i niezadowolenie, które z czasem może się stać zarzewiem jakiegoś większego nieszczęścia. Dlatego tak bardzo dbano tutaj o dobro wspólne, jakim są należyte relacje międzyludzkie i dobre sąsiedztwo. Wszyscy więc pracowali, uczciwie i ciężko, codziennie, na pożytek swój i ku chwale Pana w niebiosach, oprócz oczywiście niedziel i świąt, kiedy to niektórzy po porannym śniadaniu, a inni przed, udawali się do kościoła, aby spotkać się na wspólnej modlitwie i podziękować Bogu za Jego hojność i łaskę, jaka na nich spływa. I chociaż zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że Bóg jest wszędzie, to jednak kościół był tym miejscem, w którym wszyscy pragnęli się spotkać, by oddać pokłon i podziękowanie temu, który ich umiłował. Tak było od setek lat i tak miało pozostać na kolejne wieki.

Niestety, jak się wkrótce miało okazać, sielankowy żywot został zagrożony. W ten poukładany, harmonijny od

wieków świat, wdarł się głos intruza – heretyka, pojedynczy co prawda, odosobniony jeszcze, ale podważający wszystko to, w co społeczność tego miasteczka wierzyła – w cały wypracowany przez wieki system bogobojnych wartości. Głos ten bowiem wyartykułował, poprzez list wysłany do lokalnej gazety, myśl niezwykłą, iż – Bóg nie istnieje! A nie istnieje dlatego, jak dowodził autor listu, że podczas snu usłyszał on rzecz nadzwyczajną, mianowicie ***coś*** lub ***ktoś*** oznajmiło mu:

– Wiedz, naiwniaku, że nie ma mnie, nie istnieję! Słyszysz? Nie istnieję! A teraz zrób z tą wiedzą, co chcesz. Jednego tylko nie wolno ci uczynić: milczeć o tym coś ode mnie usłyszał. Przemilczeć tego po prostu nie możesz!

Oczywiście nie znał źródła głosu, mógł jedynie niejasno domyślać się jego pochodzenia. Ale nie to było ważne, istotne było znaczenie snu! Dlatego postanowił działać, natychmiast, był bowiem pewien jednego: treść listu powinna być jak najszybciej ogłoszona wszystkim mieszkańcom miasteczka, niczym nowa ewangelia!

I nic by się w zasadzie nie wydarzyło, autora listu potraktowano by zapewne z przymrużeniem oka, co najwyżej jako niegroźnego dziwaka, gdyby… No właśnie, gdyby ów nieszczęsny list wysłany do redakcji jednej z tutejszych gazet: ***Zaprawdę, powiadam wam***, nie został nieopatrznie przez ową redakcję opublikowany. W ten sposób jego treść stała się tajemnicą poliszynela. Od tego momentu nie można już było udawać, że nic się nie stało, że nie ma żadnego problemu. Problem bowiem był i to poważny, krótko mówiąc właśnie wtedy rozpętało się prawdziwe piekło! To znaczy piekło, naturalnie, na miarę

tego bogobojnego miasteczka. W końcu jego mieszkańcy byli usytuowani jak najdalej od takiego miejsca – nawet w myślach, niemniej to, co zgotowali autorowi tego listu, kiedy już się wydało, kim on jest, takim właśnie miejscem się stało – jego prywatnym piekłem na ziemi!

Pierwszymi, które doświadczyły konsekwencji decyzji, to znaczy ujawnienia światopoglądu naszego bohatera, były jego dzieci. Najpierw siedmioletnia córka z dnia na dzień straciła wszystkie swoje koleżanki, które przestały się z nią bawić. I to nie tylko na podwórku – co wymusiły na swoich dzieciach rodzice, ale również w szkole, gdzie za jej konsekwentny ostracyzm odpowiedzialny był nauczyciel. Dlatego podczas lekcji siedziała sama, na przerwie natomiast, gdy chciała podejść do którejś z dziewczynek, te ostentacyjnie odwracały się do niej plecami i rytuał bojkotu kontynuowany był w najlepsze. Oczywiście dziecko nic nie rozumiało z całej tej sytuacji, więc nic dziwnego, że przez większość czasu spędzanego w domu zanosiło się łzami. Na dalsze efekty tego stanu wcale nie trzeba było długo czekać – z czasem stało się ono osowiałe i smutne, straciło apetyt i w ogóle chęć do życia. Nie chciało nie tylko chodzić do szkoły, ale w ogóle nie miało ochoty na żadne wyjścia z domu!

Z synem, o dwa lata starszym od swojej siostry, było podobnie. On nie tylko w jednej chwili utracił wszystkich kolegów, ale został również dodatkowo wyrzucony z drużyny piłkarskiej oraz szkolnego zespołu muzycznego. Na szczęście znosił to dużo lepiej niż siostra, mężniej. Ale nic dziwnego – w końcu w przyszłości miał się stać mężczyzną, a oni, wiadomo, nigdy nie płaczą. Zresztą, może było mu łatwiej też dlatego, że był odrobinę starszy, a dzięki

internetowi miał wielu kolegów w innych częściach kraju, więc nie czuł się odrzucony i osamotniony, tak jak młodsza siostra. Miał z kim pogadać, wyżalić się, wyrzucić z siebie negatywne emocje, które przecież musiały się pojawić w związku z tą przykrą sytuacją. Więc dzielił się z niektórymi swoimi przeżyciami, a ci w rewanżu życzyli mu, aby był dzielny i nie poddawał się, a także zapraszali do siebie, to znaczy do swoich miast, gdy jego rodzice podejmą w końcu decyzję o wyjeździe ze swojego – taki bowiem przewidywali finał całego zdarzenia.

Ostatnią osobą w tej rodzinie, oprócz oczywiście głównego bohatera niniejszej opowieści, która doświadczyła towarzyskiego ostracyzmu, była ich matka, a jednocześnie żona głównego bohatera całego tego zamieszania. Z nią sytuacja była jednak o tyle korzystniejsza, że po pierwsze – nie pracowała, zajmując się jedynie domem, po drugie natomiast – była osobą starszą od dzieci, więc mogła też więcej znieść – przynajmniej tak mogło się wydawać. On natomiast – ten, który zdecydował się stanąć w tej nierównej walce przeciwko całemu miastu tylko dlatego, że coś mu się pewnej nocy przyśniło, coś, co postawiło go w konfrontacji z odwieczną tradycją tego miejsca, całą niekomfortową sytuację znosił niezwykle spokojnie. Może dlatego iż miał świadomość że, mimo iż jego położenie nie należało do wymarzonych, to jednak nie było ono znowu tak beznadziejne, żeby nie było z niego wyjścia. Wystarczyło jedynie wyrazić skruchę, odrzucić głoszoną przez siebie herezję, posypać głowę popiołem i powrócić tym samym na łono uznawanego przez wszystkich Kościoła, a wszystkie grzechy byłyby wybaczone i odpuszczone! Innego wyjścia nie było, inna droga bowiem oznaczała tylko jedno: opuszczenie przez niego miasta. Tyle, że tego akurat zrobić

nie chciał! Nie miał zamiaru ani wyjeżdżać, ani tym bardziej wszystkiego odwoływać i z podkulonym ogonem prosić o przebaczenie. Taka postawa bowiem oznaczałaby jedno: że się sprzeniewierzył samemu sobie, że zwątpił w to, w co od pewnego czasu wierzył. Dlatego nie zmienił zdania nawet wówczas, gdy żona, wyczerpana przeciągającym się i wyniszczającym ich rodzinę klinczem z mieszkańcami miasteczka, doprowadzona do granic wytrzymałości, któregoś dnia w końcu powiedziała:

– Proszę, odrzuć dumę, ukorz się, zapomnij o tym nieszczęsnym śnie, bo dłużej już tego nie wytrzymam! Jeżeli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to chociaż dla dzieci.

– Wiesz, że nie mogę.

– Nie możesz, czy nie chcesz i nie potrafisz? – Nie poddawała się.

– Na jedno wychodzi. Po prostu nie mogę tego zrobić. Gdybym postąpił tak, jak mówisz, nie mógłbym spojrzeć sobie w twarz w lustrze.

– Więc wiedz, że ja już dłużej… że my… że jutro wyjeżdżam! Z dziećmi. Nie wiem, jak będzie, ale jednego jestem pewna: gorzej, jak jest w tej chwili, już być nie może. Na szczęście nie mamy w tym mieście nikogo bliskiego, więc nikt niepotrzebnie nie będzie cierpiał z twojego powodu po naszym wyjeździe. Mogę to zrobić z czystym sumieniem.

I w ten oto sposób stracił wszystko – wszystko, oprócz jednej rzeczy: wiary w sens swojej walki. Dlatego, gdy następnego dnia dzieci siedziały już w samochodzie, a żona spakowana zapytała go po raz ostatni, czy naprawdę nie

chce jechać z nimi, nic nie odpowiedział, jedynie pokręcił przecząco głową, i gdy małżonka wsiadła do samochodu i przekręciła w stacyjce kluczyk, podniósł tylko rękę, wykonał nią nieznaczny ruch, mający prawdopodobnie wyrażać pożegnanie i – to wszystko. Samochód następnie ruszył przed siebie, a on patrzył na jego oddalającą się sylwetkę, aż w końcu znikł zupełnie, skręcając w jedną z bocznych uliczek. Postał jeszcze jakiś czas na drodze, jakby nie do końca przekonany że to się wydarzyło naprawdę, że najbliżsi mu ludzie opuścili go, po czym niespiesznie wrócił do mieszkania. Wiedział w tym momencie jedno: że nie ma dla niego odwrotu i że mieszkańcom miasta tak łatwo z nim, jak z członkami jego rodziny, nie pójdzie. Wiedział, że się nie podda, nie ulegnie i będzie walczył z przeciwnościami losu i odwiecznym – według niego – zabobonem, który ogłupiał i ubezwłasnowolniał. Był zdecydowany stanąć do walki przeciwko wszystkim niczym ten jedyny sprawiedliwy!

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że w otwartej potyczce z mieszkańcami miasta stoi na z góry straconej pozycji, dlatego postanowił pójść za ciosem i obrać drogę, która była właściwie niejako naturalna, bo wskazana mu przez ów niezapomniany sen. Postanowił zacząć od podstaw, czyli od założenia Kościoła, który nazwał Powszechnym Kościołem Ateistów! Był pewien, że wraz z upływem czasu i głoszoną przez niego nowiną, znajdą się w mieście ludzie, którzy myślą podobnie jak on – nawet w tej bogobojnej miejscowości. Wystarczyło jedynie zrobić pierwszy krok i trafić do nich. Reszta, był pewien, jakoś potoczy się już sama, niejako siłą rozpędu. Ważny był właśnie ten pierwszy ruch – stworzenie Kościoła i ustanowienie siebie, co zrozumiałe, jego pierwszym ateistycznym kaznodzieją. A że był zdeterminowany jak nigdy przedtem aby osiągnąć swój

cel, więc nic nie mogło go zrazić – ani wyzwiska i śpiewy intonowane przez grupy ludzi zbierających się pod oknami jego domu; ani trwające nieprzerwanie od momentu ukazania się w prasie listu, modlitwy we wszystkich lokalnych mediach w intencji jego jakoby zbłąkanej duszy; ani tym bardziej telefony, w których dzwoniący nawoływali go do opamiętania się i porzucenia drogi, na którą wszedł jakiś czas temu i po której niezachwianie dumnie kroczył.

– Nie męcz nas dłużej, człowieku, swoją obecnością. Zabij się! – dochodziło nie raz do niego z słuchawki.

Albo:

– Nie zatruwaj dobrego owocu Boga, jakim jest nasze bogobojne miasteczko, swoja obecnością. Odejdź. Wyjedź na zawsze!

Czy jeszcze inaczej:

– Zniknij, szatanie! Precz!

On jednak na te wszystkie nawoływania pozostawał głuchy i niewzruszenie robił wciąż swoje, tyle, że z marnym jednak skutkiem. Jego uliczne występy bowiem, podczas których nawoływał do porzucenia dotychczasowego rytuału religijnego, wydawały się trafiać w próżnię – wszyscy go bojkotowali, traktując niczym powietrze. Chociaż nie jak powietrze, bardziej jak żywą tarczę, w którą można było bezkarnie rzucać czymkolwiek, co akurat miało się pod ręką: a to obrywał jakimś pomidorem, a to jajkiem, a to truskawkami, czy też ciastkiem z kremem, istotne, żeby rzecz, która na nim wyląduje, miała jak najrzadszą konsystencję. Im bowiem była ona rzadsza a rozbryzg pokaźniejszy, tym efekt mocniejszy i ubaw rzucających

większy. Więc rzucali w niego czym popadło i złorzeczyli mu. On jednak nie zważając na to, niezachwianie parł przed siebie z podniesiona głową, głosząc wszem i wobec swoją, jak mniemał, dobrą nowinę, oświeconą ewangelię, co z kolei powodowało jeszcze większą zajadłość rzucających. W końcu nastąpił jednak przesyt, punkt krytyczny został osiągnięty i w miejsce totalnego bojkotu jego osoby w pewnym momencie pojawiło się zniechęcenie w okazywaniu mu w ten sposób swojej pogardy. Ba, niektórzy z nich, znudzeni dotychczasowymi metodami walki, poczęli nawet wchodzić z nim w dyskusję!

– Jak możesz twierdzić, szalony człowieku, że nie ma Boga, skoro On jest, istnieje?! – Powiedział któregoś dnia właśnie jeden z takich ludzi. – Mamy setki, więcej – tysiące dowodów na Jego istnienie!

– Jakie? Objawił się któremuś z was? Potwierdził, że jest, że żyjecie zgodnie z Jego nakazami? Że w ogóle ma jakieś nakazy i wymagania w stosunku do was?

– Objawił się kiedyś – Abrahamowi! Nie musi tego robić za każdym razem, jak tylko ktoś w Niego zwątpi. *Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli*!

– Świetne tłumaczenie – nie dawał za wygraną nowy kaznodzieja. – Tyle, że lipą jedzie na kilometr! Nie czujecie?

– A Chrystus? Może powiesz, że jego też nie było, co?

– Oczywiście że był.

– A jednak!

– Był, to postać historyczna, temu nie można zaprzeczyć. Podobnie jak Poncjusz Piłat, ów namiestnik rzymski w Judei, powiązany z Chrystusem na wieki. Obaj zresztą skończyli marnie: pierwszy skonał na krzyżu z wyroku drugiego, drugi z kolei stał się przyczyną śmierci pierwszego – wezwany do Rzymu odebrał sobie życie. To wszystko. Aha, jest jeszcze jedno: ten drugi jednak, co należy wiedzieć, to żaden bóg, a zwykły człowiek. Jego niezwykłość może polegać jedynie na tym, że umarł na krzyżu jako ten, który miał jakoby zmartwychwstać. Niestety, rzecz w tym, że akurat tutaj przeliczył się ze swoimi możliwościami.

– Przeliczył? On zmartwychwstał! – podjął inny głos pełen oburzenia.

– Nie ma żadnych dowodów. A przeliczył się dlatego, bo się łudził, iż w momencie jego cierpienia na krzyżu dobry Bóg Ojciec coś zrobi, zareaguje. Tyle że nie mógł tego zrobić, bo Go nie ma. A jeżeli nawet byłby jakiś Bóg, to z całą pewnością nie mógłby ingerować w nasz fizyczny świat. Ponieważ Jego królestwem byłby świat ducha – nie materii. Gdyby to uczynił, wykazałby jedynie swoją małość i niedoskonałość.

– Pycha przez ciebie przemawia!

– Głupstwa mówisz. To tylko tak zwany zdrowy rozsądek! Przecież wszyscy wiemy, że każda religia posiada swojego boga. Tylko tak się składa, że żadna z nich, paradoksalnie, nic o Nim nie mówi. One wszystkie, jeżeli coś przekazują, to jedynie prawdę o nas – ludziach. Opisują bowiem nie Jego, a nas samych, cały wachlarz naszych

zachowań w różnych sytuacjach, nierzadko oczywiście zachowań godnych pożałowania.

– To znaczy? – włączył się ponownie do rozmowy głos pierwszy.

– Wyprawy krzyżowe, działalność św. Inkwizycji i stosy dla tak zwanych heretyków, którzy ośmielili się mieć inne zdanie niż Kościół. Szyici i sunnici, którzy powołując się na Koran, swoją Biblię, mając ten sam system wartości, walczą ze sobą od wieków na śmierć i życie. Więcej? Mnie wystarczy. I właśnie dlatego uważam, że religia potrzebna była jedynie ludziom po to, żeby ci, którzy żyją nadzieją, nadal łudzili się, że to „tu" nie kończy się definitywnie; że to „tam" też jest – i że to „tam" jest o wiele lepsze, naturalnie, niż to tutaj. Chociaż z drugiej strony jak może być lepsze, skoro klepiecie bez przerwy jak mantrę: *jako w niebie, tak i na ziemi*? Zaprawdę, nie mam pojęcia!

– Dla ścisłości: *Bądź wola twoja jako w niebie tak i na ziemi*! – kontynuował głos pierwszy.

– Na jedno wychodzi.

– Bzdury opowiadasz! Idź, wyspowiadaj się lepiej, od razu lżej ci się zrobi na duszy i zrozumiesz wtedy, że kroczysz złą drogą. – Poparł swojego towarzysza głos drugi.

– Skucha! Może ty wy taką kroczycie? – Nie poddawał się przedstawiciel powołanego przez siebie Pierwszego Kościoła Ateistów. – Nie bierzecie tego pod uwagę?

– Jest nas za dużo, żeby to było nieprawdą. Mylą się tylko nieliczni, właśnie tacy jak ty!

– I kto tutaj grzeszy pychą? Wy myślicie, ba – jesteście pewni w wyniku waszej ortodoksyjnej wizji, że dostąpiliście prawdy objawionej, bo danej wam jakoby przez samego Stwórcę i dlatego uważacie się za nieomylnych. Stworzyliście sobie istotę na wzór i podobieństwo swoje i wznosicie do niej modły. W ten sposób jesteście przekonani, że wiecie, czego taka istota pragnie. I tutaj macie rację – oczywiście że wiecie, bo został ukuty przez was z waszych pragnień. Ale on nie jest żadnym bogiem – jest jedynie stworzonym przez was bytem, który stał się dla was najwyższym autorytetem moralnym i niezależnie w którą stronę podążycie, On podąży z wami. Tym sposobem jesteście przekonani, że zmierzacie w dobrym, bo słusznym kierunku, ponieważ ów kompas moralny was tam kieruje. Ale mylicie się, wszyscy, co do jednego!

– Skąd ta pewność, że to my się mylimy, a nie ty? – Włączył się do dyskusji kolejny głos.

– Miałem sen, wiecie przecież o tym wszyscy.

– Sen, to żaden dowód! – Odparł ten sam głos. – Każdy go może mieć. Jak na zamówienie.

– Właśnie! Co ty w ogóle chcesz nam udowodnić, twierdząc to, co twierdzisz? – Poparł go głos pierwszy.

– Nic. Miałem jedynie podzielić się tą wiedzą, to wszystko. Tak mi nakazał głos.

– Więc jeżeli to wszystko, jeżeli tylko tyle miałeś nam do powiedzenia, to teraz idź sobie. Dziękujemy ci za tę wiedzę, która do niczego nie jest nam potrzebna. Weź ją sobie i głoś tam, gdzie jej potrzebują. Tutaj nikt jej nie pragnie.

Chciał coś powiedzieć, jeszcze raz spróbować przekonać ich do swoich racji, ale w tym samym momencie dotarła do niego niezmiernie brutalna, gorzka prawda – że tych ludzi nie przekona; nie ma tutaj bowiem nikogo, kto oczekiwałby poznania tego, co miał do przekazania. Nikogo to nie interesowało, oprócz niego. Z całą jaskrawością prawdy uświadomił sobie w końcu, że nic tu po nim i jego nauce – nikomu nie jest potrzebny. Był kaznodzieją Kościoła bez wiernych – tyle zrozumiał. Rozumiał teraz również i to, że pozostanie w tym miasteczku było błędem. Więcej – uświadomił sobie, że tak naprawdę wszystko było błędem, łącznie ze snem, który stał się przyczyną całego tego zamieszania – tym bardziej, że sam nie był już pewien czy głos, który usłyszał we śnie, rzeczywiście oznajmił mu to, o czym próbował nauczać, czy może raczej była to tylko czysta fantazja, nocny wymysł jego umysłu. Po raz pierwszy zwątpił w jego prawdę i wynikający z tego sens swojego nauczania. Dlatego w tym momencie wiedział jedno: że to, co teraz musi zrobić, to przede wszystkim wrócić do domu, spakować się i pojechać do żony i dzieci. Brakowało mu ich. Nikt bowiem, oprócz najbliższych, nie potrzebował go. On zresztą również nikogo już nie potrzebował, za wyjątkiem, naturalnie, swojej rodziny. Niefortunny etap ewangelicznego nauczania miał poza sobą. Czy na zawsze? – nie wiedział jeszcze tego. W tej chwili liczyła się jednak tylko rodzina, jedynie najbliżsi.

26.07.2015 r.